

Pismo to wychodzi
trzy razy w tydzień
to jest: w Ponie-
dzialek, Środę i
Piątek, o drugiej
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
księgarni Czecha,
w handlach Kocha
i Schreibera,

PIĄTEK 5 PAŹDZIERNIKA

N^{RA} 13.

1838 ROKU.

ALGIERCZYK W DOMU INWALIDÓW. S FRANCUZKIEGO.

W ostatnim boju francuzkiej armii z wojskiem Abd-el-Kadera, pewien żołnierz algierski, był tak ciężko ranionym, iż do służby wojskowej na zawsze niezdatnym został. Nieszczęśliwy kaléka ten widział przeto przerwany cały zawód swojego życia; niemarzył on wprawdzie, podobnie jak Jussuf-bej o złotych epoletach, jednakże niespodziewał się, aby przy schyłku dni zebrać miał kawałka chleba u swoich ziomeków; taki bowiem los czekał niegdyś pod dejem wszystkich w służbie zestarzałych i do boju niezdatnych ludzi. Algierczyk ten był walecznym i złorzeczył kuli, która go ugodziła, nie dla tego, że był ranionym, ale że niepoległ od niej na miejscu. Gdy cokolwiek przyszedł do zdrowia, rzekł do niego pułko-

wnik: «Popłyniesz do Francyi, gdzie w domu, który na ciebie czeka, nienajgorsze będziesz miał utrzymanie.» — Algierczyk wzdrygnął się na te słowa: «Do Francyi!» odmruknął; «ja, który jeździłem na ognistym rumaku, z szablą w ręku na szerokich płaszczyznach gromiłem nieprzyjaciela, spędzał noce pod niebem gwiazdami zasianém, ja miałbym iść do Francyi, by sprzedawać migdały i wonne świeczki na bazarze!» — Jednakże umilkł, i powziął stały zamysł. Płynąc z Algieru do Francyi, postanowił rzucić się w morze. — Będąc ułeczonem zupełnie, został odesłanym na pokład, a pułkownik polecił go względem kapitana okrętu. Byłoto późnej jesieni, w której najpiękniejsza panowała pogoda; zdawało się, iż samo niebo Algieru i Oranu sprzyja biédnemu wychodźcy, by go nieprzywieść do rospaczy. Założywszy na krzyż pod siebie nogi, i trzy-

mając w ustach długą fajkę, siedział na pokładzie i zupodobaniem patrzył na wonny widokrząg, po którym przemkły rokoszne wyspy Majorka i Minorka; nareszcie rzekł sam do siebie: «Teraz jeszcze niezas, później rzucę się w morze!» — Gdy przybył do Marsylii, wsadzono go na dyliżans jadący do Paryża; w tym powozie miał osobne siedzenie i wszelką wygodę; mógł palić fajkę tak długo, jak się mu tylko podobało, i tym sposobem dostał się do stolicy, niewiedząc bynajmniej, co go właściwie u kresu tej podróży czekało. Przybywszy na miejsce, zaprowadzono go najprzód do ministerjum wojny. Tam doręczono mu wstępną kartę do domu inwalidów i przydano wysłużonego żołnierza spolececiem, aby go zaprowadził na miejsce przeznaczenia. — Biedny Algierczyk był bardzo stroskanym przechodząc wśród Paryża: «Cóżto za długie i posępne ulice! jaki zgiełk, jaka kurzawa! Co za pochmurne niebo! Któreżto dla mnie przeznaczone więzienie?» Tak dumiał nad swym losem, nareszcie rzekł: «Bóg jest wielkim! ale Paryż szkaradnym miastem!» — Po niejakiem czasie,

przyszedłszy na szeroki plac inwalidów, stanął przed ogromnym, spaniałym gmachem. Zdumał się i zadrżał na całym ciele. Kassaba, pomyślił sobie, w porównaniu s tym pałacem, niejest, jak tylko bezecną stajnią. «Czyżżeto pałac, zapewne francuzkiego sultana?» — «To jest twój pałac,» odrzekł towarzyszący mu inwalid; «wnijdź do niego.» — Algierczyk pomyślił sobie, że inwalid drwi z niego, wszelako wszedł do pałacu, a tam go zaprowadzono do wielkiej sali. — «Cóż będziesz jadł i pił bracie?» — Algierczyk przebaknął zmieszany: «Jaja i kawę.» Przyniesiono jaja i kawę. — «A teraz, czegożyś jeszcze sobie życzył?» — «Palić fajkę i przejść się po tym pałacu.» — «Pal fajkę i przechadzaj się podług woli. A teraz, czegoż chcesz jeszcze?» — «Położyć się spać.» — «Oto masz dobre łóżko, połóż się.» — Gdy się przebudził, zapytano go znowu, ażali się mu jeść niechce. Algierczyk zjadł porządny obiad. Po obiedzie zapytano go, ażali zadowolony z swego losu. — Algierczyk odrzekł: «Pójdę się modlić do Stwórcy wszystkich istot; powiedzcie, s której strony

wschodzi tu słońce? — «O! jest wschód; idź i módl się swoim sposobem. Niedługo wprowadzie w tę porze przyświeca nam słońce, jednakże użyj i tej reszty podług swego upodobania.» — Inwalidowie oddali się, by mu nieprzeszkadzać w modlitwie. Algierczyk, zwyczajem narodów wschodnich, rzucił się na twarz w sali i modlił się z największą skruczą. Po skończonem nabożeństwie, zapytał strwożą, jaki go los czeka nazajutrz. — «Jutro będziesz to samo robił, coś robił dnia dzisiejszego, i to samo przez całe swoje życie, choćbyś i sto lat żył na tym świecie. Jakże ci się ten dom podoba, przyjacielu?» — Algierczyk, nieposiadając się z radości, zapytał z zdziwieniem, pomiędzy jakimiżto ludźmi on się właściwie znajduje? — «Pomiędzy żołnierzami takimi, jak ty jesteś. I tak, jak tu nas wszystkich widzisz, walczyliśmy po największej części pod Napoleonem: ten odniósł ranę pod Damietta, a tamten pod St. Jean d'Acree.» — «Ja walczyłem pod Mokta za Francję!» — rzekł Algierczyk. — «Więc jesteś Francuzem!» zawolali inwalidzi. «Za twoje zdrowie Turczy-

nie! Jesteś naszym towarzyszem! Będziesz z nami żył, postarzejesz się i umrzesz z nami.» — Poczém zaczęli rozpowiadać o wojennych przygodach. Każdy opowiadał swoje przypadki. Algierczyk, za pomocą jestów i francuzczyzny, której cokolwiek we francuzkiej służbie zachwyił, opisywał sposób walezenia Beduinów. Mówił jak zwinnie dosiadają rumaka, jak szerokie, białe noszą burnusy, wktóre osłonięni, wyglądają jak duchy pośród puszczy z obłoków spadające; opowiadał do jakiego stopnia są wytrwali, że garść migdałów dostateczną jest do zaspokojenia na cały dzień ich głodu; opisywał ich napój pośród skwaru ochładzający, a tym jest jeden łyk słonej wody; ich zabawy, a te są w krótkim nabożeństwie; ich łoże, a tém jest piasek puszczy; ich nadzieję, a nią jest — ich niebo! — Nowi towarzysze, tém opowiadaniem zachwyceni, uściskali go i obchodzili uroczyście jego przybycie. Turczyn przez cały wieczór upajał się radością, zadowoleniem, a może nawet i czém innym, pomimo zakazu proroka. Pożno w nocy zaniesiono go do łóżka, gdzie najpiękniejsze sny

ujęły go w swoje objęcie. — Po upływie dni kilku dowiadywał się, jakieżto święty człowiek wystawił ten pałac gościnności, który zapewne przez dobroczynność bogobojnych ludzi tak spaniale jest utrzymywany. Z wielką trudnością dano mu do poznania, iż właśnie we Francyi nie masz tyle bogobojnych, którzyby dla ludzkości podobne jak dom inwalidów wystawiali schronienie. — «Zapewne więc król francuzki założył ten dom spaniały?» zapytał dalej, «skądże ma utrzymanie?» — «Żołnierze łożą na utrzymanie jego i na wszelkie wydatki. Z żołdu, który rząd wypłaca, odciągają im niejaką szczupłą kwotę, która dostateczną jest do zaopatrzenia wszystkich inwalidów w odzież, ogrody, dobre jadlo, a nawet wino bordejskie. Jeden sous od każdego francuzkiego żołnierza wystarczył na założenie, i wystarcza na utrzymanie tego instytutu.» — Mieszkańcy Wschodu przyzwyczajeni są do rozwagi; po krótkim namyśle pojął Algierczyk, jakich środków używają i jakimi ofiarami składają się ludzie ucylizowani, do skutecznego dobrowolnych zamiarów. Pe-

wnego dnia ujrzał na własne oczy przykład podobnego poświęcenia się, gdy jeden z jego towarzyszków chorobą złożony, zanieśionym był do szpitalu. Zamyśliwszy odwiedzić go, ubolewał serdecznie, iż przy łożu jego niezastanie ani żony, ani dzieci, któreby go pocieszać i pielęgnować mogły. Ale jakże się zdziwił, gdy przyszedłszy do swego przyjaciela, ujrzał przy nim trzy niewiasty, które s tklivością i bogobojnym politowaniem zajmowały się uśmierzaniem jego boleści. Jednej z nich pytał, azali nie jest jego matką; drugiej, azali nie jest jego małżonką, a trzecią i najmłodszą mniemał być jego córką. — «Zadna z nas nieznajemy twojego przyjaciela;» odrzekły zakonnice. — «A dla czegoż go pielęgnujecie?» zapytał Algierczyk s ciekawością. — «Ponieważ taki jest rozkaz boski;» odpowiedziały z skromnością. — «Rozkaz boski? tak, Bóg jest wielki!» odrzekł Algierczyk zjęty podziwieniem; «za to też w niebie dostaniecie za mężów tak pięknych mężczyzn, o jakich wam się ledwie przyśnić mogło.» — Siostry miłosierdzią zarumieniły się usłyszawszy tę grzeczność; jedna

tylko, najstarsza z nich, miała tyle śmiałości, iż w ten sposób odrzekła: «Jedyna nagroda, której się spodziewamy, jest ta, że będziemy mogły w niebie chwalić Pana Zastępów i radować się obliczem jego.» — Algierczyk milczał. Waleczny przyjaciel jego uśmiechnął się i objaśnił mu pokalęczoną arabszczyzną, której się w egipskiej wyprawie nauczył, że siostry miłosierdzia, przywdziawszy szatę zakonną, złożyły niebu śluby wiecznej czystości. — Algierczyk na żaden sposób niemógł pojąć tak wielkiej ofiary. — «Jakże, lepiej ci teraz?» zapytała najmłodsza zakonnica chorego inwalida; «czy niechęciałbyś napić się czego?» — «Nie mam pragnienia, ale, jeżeli wolno, prosiłbym szanowną siostrę o jedną łaskę.» — «Powiedz,» odrzekły wszystkie trzy skwapliwie. — «Już od kilku dni niepalilem fajki, czuję niemoc w całym ciele; życzyłbym sobie przynajmniej oddychać dymem tytoniu. Pozwólcie memu towarzysszowi, niech usiedzie przy mnie na łóżku i pali fajkę, a dym z niej będzie dla mnie bardzo posilnym.» — «Jedna z sióstr miłosierdzia pobięła natychmiast i

przyniosła fajkę, tytoń i ogień i prosiła Algierczyka, aby palił fajkę. Ten nie dał się długo prosić i z wielką gorliwością wykonał życzenie swego przyjaciela. Był to rozrzewniający widok, patrząc przy łożu chorego na siostry zakonne i Algierczyka, który złożywszy spowagą na krzyż pod siebie nogi, usiadł na dywanie, i uroczyście ciągnąc dym s fajki, całą salę nim napełniał. Stary inwalid wciągał w siebie z wielką roskoszą ten balsam zbawienny, a marszczkami zradłona twarz jego, w krótkim czasie zakryta została rozdętymi kłębami dymu. Turczyn był surowej twarzy i uroczyście, jakby modlitwę odmawiał, i s taką gorliwością dymem s fajki buchał, jak gdyby nim swojego przyjaciela od śmierci wybawić zamierzył. — Odtąd ubiegło już kilka miesięcy jak Algierczyk w domu inwalidów zostając, ma się za najszcześniejszego ze wszystkich ludzi od Wschodu do Zachodu, nawet emirów i sultanów niewyłączając. Codziennie wypala dwanaście fajek, a jeżeli piękna pogoda sprzyja, pije kawę w chłodniku ogrodowym; wychodzi kiedy się mu podoba, powraca na obiad i wieczerzę;

uprawia ogródek spólnie z swym towarzyszem, niemającym tylko jedną nogę i rękę. Zony i dzieci żonatych inwalidów, przyszedłszy w niedzielę lub w tygodniu na odwiedzinę, życzą sobie zawsze widzieć Turczyzna, i zawsze mu jakiś podarunek przyniosą, bądź piękny bukiet kwiatów, bądź paczkę tytoniu i zawsze proszą go, aby w ich obecności palił fajkę; słowem, nie masz nikogo, któryby mu niesprzyjał; lecz on jest bogobojnym i przypisuje to wszystko Bogu, i każdego wieczora, obróciwszy się ku wschodowi, odmawia w swój modlitwie: —
 • Dziękuję ci, mój Boże! dziękuję za tę ranę, którą odniosłem w bitwie pod Mokta! •

— ❖ ❖ ❖ —
W A S I L E K.
BALLADA.
 —

Poranne słońce na wioskę blask roni,
 Dokoła złoci się zboże,
 I żółte fale płyną po błoni,
 Jak płyną fale przez morze.
 Szczęśliwa wioska! szczęśliwe zagony!
 Trzecia tu jesień s kolei,
 Najświeższe łąki, najbujniejsze plony,
 Wraca rolników nadziei.
 Widzisz tę miedzę, co zagon pszenicy
 Zielonym przerzyna paskiem?

Daliej dwie kładki leżą na krynicy,
 Za nią mogiłek pod łaskiem?
 Więdz, że tę miedzę, mogiłek i kładki,
 Wioska jak święte poważa,
 Spomad krynicy dzień wczęta rwał kwiatki
 Na równianki do Ołtarza.
 A kto obdarzył biédnego pielgrzyma,
 Siórotę przyjął w gospodę,
 Wzięty stój miedzy bławatek otrzyma
 Od całej wioski w nagrodę.
 Bo trzecia jesień, jak w ranną chwilę,
 Przebiegłszy miedzy tój paskiem,
 I po tych kładkach; na matki mogile,
 Płakał Wasilek pod łaskiem.
 „Niedobraś mamó! dawniej bywało
 Chęć mą umiałaś zgadywać,
 Dzisiaj cię tak długo twe dziecię wołało,
 Niechciałaś mu się odzywać.
 Pukałem do drzwi twój kamiennój cha-
 (tki,

Daremne lży i wołanie.
 Milczysz, a mnie tu tak smutno bez ma-
 (tki,

A mnie już i lez niestanie!
 Ciebie niestało, wszystkiego niestawa,
 Bo s tobą moje wesle.
 Niosą mi strawę; do czegoż mi strawa,
 Kiedy jój s tobą nie dziele.
 Niosą mi cacki; na cóż mi te cacki,
 Cóż w nich milego zobaczę,
 Ciebie niewidząc. Wziąłem strój ze-
 (bracki,

W żebrackim stroju tu płacę;
 Bo odzież, jaką obaczyłem w chacie,
 Wyniosłem, siadłem na prog; ;
 Przyszli ubodzy: Weźcie, wszystko
 (macie,

Polecajcie mamę Bogu.
 Biédni sąsiedzi, weźcie nasze zboże,
 Ah! mam kapotkę, wspomniałem,

A i to mamy duszeczce pomoże,
Na Mszę dla Księdza oddałem.

Potem poszedłem do naszej obory:
Trzódko! do czegoż cię chować;
Odparłem wrota—Bieźcie krowki w bo-
(ry,

Niema was komu pilnować.

Ojcie mój, matko! wy gdzieś obok siebie
Latacie skrzydłem motylka,

Ah! jak tam dobrze musi być w tém
(Niebie,

Weźcie do siebie Wasilka;
Tak się żyć niechce. Ah! z życia prze-
(włoką,

Dla sieroty nędza sama,
Pan mój daleko, Pan Bóg mój wysoko,
Druga nieznajdzie się mama.

Smutno mi, smutno; wy twarde śpicie,
A ja tu wołam co chwilka,

O matko! ojcie! przytulcie swe dziecię,
Weźcie do siebie Wasilka!“

Kłękna na grobie, rączki w górze trzyma,
I milczy i lży niebiegą;

Tylko u Nieba pytał się oczyma,
Czy wysłuchało prośb jego.

A przez to Niebo, jak mgła przez jezioro,
Białe się chmurki ciągnęły,

I w oddaleniu znikwały nieskoro,
I nowe jak dym płynęły.

Lecz jedna chmurka samotna i blada
Niepłynnie razem z innymi;

I coraz niżej na powietrzu siada,
I coraz bliżej do ziemi.

Scichł wietrzyk, nieśmię blasku wód
(zatrzcć,

I liści ustało drzenie,

Zdaje się na to umilkł świat, by patrzeć,
Na osobliwsze zjawienie.

Oto na chmurze było dwóch gołąbków,
Białych jak księżycy promyk,

Skrzydła miały s promienistych rąb-
(ków,

Nad niemi drżał siny płomyk.

Wzleciały, siadły na dziecka ramieniu,
Woń miłą wytechnęły kwiaty,

Słyszał Wasilek w gołąbków gorleniu
Głos swojej mamy i taty.

„Wasilku! cnotę Bóg bojnie zapłaci;
Patrz, niepoznasz ojca, mamy,

Taki blask bije z ich nowych postaci,
Kłopotów ziemskich nieznamy.

Nad dolą naszą niema szczęśliwszej,
Dom nasz na niebios błękiecie,

Czém u was chwila rokoszy najżywszej,
Tém u nas całe jest życie.

Jako my teraz, zmienisz się w gołąbka,
I będziesz Raju ozdoba,

Z róży na różę, od dąbka do dąbka
Lećmy z sobą, zawsze z sobą!“

Jakoż się w chwili ziścił wyrok Boski,
Wasilek ginął i ginął;

Z główki tak małej jak orzech włoski,
Różowy dzióbek wypłynął;

Gdzie dwoje oczu, błysły dwa światel-
(ka,

Piersi usrebrzył puch biały,
Zramion promienne strzeliły skrzydeł-
(ka,

I trzy gołąbki wzleciały.

Widzi to pastérz z bliskiego ugoru,
I zoznajmieniem wnet bieży;

Na ten cud zeszli ze wsi i ze dworu,
Znaleźli resztki odzieży.

A gdzie kolanem wcisnął grób głęboko,
Wyrósł (dotychczas nieznamy)

Kwiatek błękitny jak u Egli oko,
Podwójnie u nas nazwany.

My go bławatkiem, gmin wasilkkiem zo-
(wie,

My dla barwy, gmin s powiaści,

Chętnie on wiejskiej zakwita dobrowie,
I wieśniaczek oczy pieści.

Starce, dziewczęta, i prostszy gmin lu-
(du,

Wierzą w powieść pastérzową,
Kto ślepém sercem niewidział w tém
(cudu,

Wznosił ramiona, trząsł głową.
To jednak pewna, że od tego czasu,
Wsi téj nierzuca stan błogi;

Zawsze tam zboża podobne do lasu,
I na łąkach jak mur stogi.

—ooooooo—

DZIWACZNE ZWYCZAJE NIEKTÓRYCH KOMPOZYTORÓW.

Muzukę do «Dwóch Ifigenij»,
»Zalów Orfeusza» i «Milości Pa-
rysa», pisał Gluck pod gofém nie-
bém na łące, wystawiony na pro-
mieniu słonecznym, mając przed
sobą fortepian, a obok dwie bu-
telki szampana. Sarpi zaś nie-
mógł komponować jak tylko wśród
nocnej ciszy, w wielkim, pró-
żnym, pęcpnym i jedną lampą
słabo oświetlonym pokoju. Sal-
leri z ołówkiem i pularsem w rę-
ku biegał po najludniejszych uli-
cach, zjadał cukierki i tym spo-
sobem szukał do swych kompo-
zycyji pomysłów. Paer, żartując
ze swymi przyjaciółmi, karcąc
swe dzieci, rozkazując służącym,

kłóćąc się z żoną lub kucharką,
albo głaszcząc psa swego, wy-
lęwał na papier najspanialsze
swe myśli. Cimarosa lubiał ha-
łas, komponując otaczał się za-
wsze przyjaciółmi. Sacchini nie-
mógł komponować tylko wobe-
rności swojej kochanki i piesz-
cząc się przyjemną swą kote-
czką. Pačsiello pisał wszystkie
swoje kompozycye w łóżku. Zin-
garelli zagrzewał się do kompo-
zycyji czytaniem Ojców Świętych,
albo jakiego klasyka łacińskiego.
Aufossi niemógł ani jednej na-
pisać nóty, jeśli przed nim nie-
stał kapłon, kielbasa, szynka albo
jaka potrawka. Hayden siedział
spokojnie w poręczowym krześle,
podczas gdy wzniosły umysł jego,
podnosząc się w niebo, podslu-
chiwał tonów, jakimi aniołowie
śpięwają.

K O W A L.

Pewien kowal, mieszkający
w Grinell, w Anglii, miał ośm żon,
które wszystkie pomarły, i zamy-
ślił z dziewiątą się ożenić. Zapyta-
ny dla czego tak często się żeni,
odrzekł: «Kuję sobie zawczasu
gwoździe do mojej trumny.»